

♦ *A.R. Reystone* ♦



# WIETRZNE KATEDRY

*Tom 1*

NASZA KSIĘGARNIA

This edition © copyright by  
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018

Text © copyright by  
A.R. Reystone 2018 by arrangement with Syndykat Autorów

Ilustracje na okładce: Aleksandra Rak

Projekt okładki i typografii: Marta Weronika Żurawska-Zaremba

W przygotowaniu:  
Tom 2 i Tom 3

I

IAN

## T HEATRON – Święto Srebrzystych Kaganków

– Niech światełka kaganków połączą się z muzyką Harfy i wskażą drogę ku Metropolii... Zanim padną te legendarne słowa, serdecznie witamy wszystkich odwiedzających dzisiaj nasz cudowny Theatron.

Na wielkim telebimie amfiteatru metropolitalnego ukazała się uśmiechnięta twarz młodego pulchnego blondyna w okularach bez oprawek. Kamera zaczęła się oddalać. Teraz zwiedzający mogli dostrzec, że mężczyźnie towarzyszy inny, brunet o lekko skośnych oczach i wydatnych kościach policzkowych. Obydwaj mieli na sobie ekskluzywne smokingi, a w dłoniach dzierżyli niewielkie metalowe lampki wyglądające niczym płaskie miniaturowe imbryczki. Każda z nich miała maleńki uchwyt, dziobek oraz podstawkę i wypełniona była najwyższej jakości oliwą.

– Ze świątecznego studia targowego witają państwa: Marshall Bowen – przedstawił się blondyn.

– I Vincent Koughey! – zawtórował mu żywiołowo brunet.

Marshall odstawił swój kaganek, zaczął energicznie gestykulować.

– Będziemy państwu towarzyszyli cały dzisiejszy dzień, oprowadzimy po Theatronie, powspominamy poprzednie święta, ale także zdamy relację z samych targów...

– Tak, tak, można się będzie na nich dziś nieźle obłowić – prze-  
rwał mu Vincent i zaśmiał się jak z dobrego dowcipu. – A okazji  
do wydawania dragenów będzie co niemiara, bo przecież w tym  
roku mamy rekordową liczbę stoisk! Samych boksów vivernów aż  
czterdzieści trzy! I ileż odmian feniksów! Do tego mnogość sto-  
isk z roślinnością wszelaką, z minerałami, ale też z egzotycznymi  
owocami czy przysmakami...

– Vincent, ciebie, jak widzę, już ogarnęła gorączka zakupo-  
wa. Coś czuję, że zanim palatyn uroczyście zainauguruje święto,  
ty już będziesz splukany. – Teraz to Marshall przerwał tamtemu  
i chichocząc, puścił oko do widzów. – Ale tak, to prawda, w ca-  
łej historii targów nie mieliśmy aż tylu wystawców. Pochodzą nie  
tylko z Metropolii, ale nawet z najdalszych zakątków Palatyna-  
tu – kontynuował już jak najbardziej poważnie. – W Pawilonie  
obok Theatronu... – wskazał ekran za swoimi plecami, na którym  
najpierw ukazał się cały kompleks wystawienniczo-sportowy wi-  
dziany z lotu ptaka, a zaraz potem obraz na żywo z poszczegół-  
nych jego części – ...mamy więc stoiska z przepięknymi okazami  
kamieni i biżuterii pochodzącymi z Kryształowych Wodospadów,  
całe pasaże wypełnione cudownymi egzemplarzami storczyków  
z Motyliń Dolin. Jest tam też sporo ciekawych zwierzaków,  
w tym miniaturowych jednoroźców, tęczowych utopców czy wie-  
lobarwnych odmian małych feniksów. Ta wiadomość z pewno-  
ścią mocno ucieszy dzieciaki...

– Gorzej z ich rodzicami – znów wtrącił się Vincent. – Naj-  
nowsze odmiany, te mikroskopijne strząsające ogniste piórka  
i umiejące mówić kosztują fortunę! Byłem, widziałem i powiem  
wam: są warte k a ż d e g o w y d a n e g o d r a g e n a! – Przyło-  
żył dłoń do ust i wyszeptał teatralnie, jakby zwierzał się z naj-

większej tajemnicy: – Na Onyksową Harfę! Są absolutnie niesamowite!...

– Taak, pozwólmY Vincentowi ekscytować się zakupami, a sami porozmawiajmy o tym, co dzisiaj będzie się tutaj działo. A zaręczam, że nudzić się nie będziecie. Już za chwilę rozpocznie się uroczysta inauguracja świąt. W tym momencie jednak palatyn Ronenweth kończy wizytować pasaże i boksy.

Ekran za plecami Marshalla ukazał palatyna przechadzającego się wraz ze świtą wśród tłumu wystawców i zwiedzających.

– Po inauguracji zapraszamy na główną arenę Theatronu, gdzie rozpocznie się rywalizacja o tytuł championa wśród wiver-nów tegorocznej wystawy w kategoriach: najpiękniejsza samica, najokazalszy samiec oraz najcudowniejsze pisklę. A zaraz potem przeniesiemy się do pawilonu sportowego. Nie możemy przecież zapomnieć o memorialu, sportowej części Świąta Srebrzystych Kaganków. Memorial rozpoczną wyścigi minismoków na dystansie tysiąca metrów, następnie odbędą się pokazy zionięcia ogniem na odległość i do celu oraz latanie synchroniczne. Będzie także pokaz łucznictwa, konkurs na najlepszą kopię Onyksowej Harfy, a dla melomanów koncert muzyki oraz poezji elfickiej. Pełen program tegorocznych obchodów znajdziecie państwo w broszurach rozdawanych przez nasze hostessy przy wejściu, a także na tablicach informacyjnych. Patrzę na zegar i widzę, że mamy jeszcze parę minut... – Marshall zerknął gdzieś w bok. – Przypomnijmy więc sobie może najpiękniejsze momenty poprzednich świąt, targów oraz memoriali...

Z głośników popłynęła liryczna muzyka, a telebim wypełniła mozaika obrazów.

Tymczasem niedaleko studia targowego, oparty o jedną z klatek z niewielkimi feniksami, stał postawny, dojrzały mężczyzna

z ciemnymi, choć wypływałymi od słońca włosami do ramion. Tuż za prawą skronią, nad uchem, nieliczne pasemka splecione miał w warkoczyk opadający z tyłu na plecy. Lewe ucho, kompletnie zasłonięte, kryło maleńką słuchawkę. W dłoniach trzymał rozłożony program targów. Wydawał się bardzo zainteresowany broszurą, w rzeczywistości jednak zerkał na ukryty w niej miniaturowy, elastyczny ekran transmitujący dyskusję z – oficjalnie tolerowanej, a nieoficjalnie niemal zakazanej – telewizji opozycyjnej. Dyskusja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej burzliwa.

– ...Święto Srebrzystych Kaganków ustanowiono przecież ku Ich czci! – zaperzył się otyły mężczyzna na ekraniku. Jego tłusciutkie, przyozdobione wieloma srebrnymi pierścionkami palce zdawały się wykonywać jakiś dziki taniec zdradzający wielkie emocje.

– Nie tyle czci, co pamięci, drogi panie – spokojnie zripostował drugi. Nonszalancko rozchylił poły zamszowej marynarki, rozparł się na sofie. Potem pociągnął łyk soku z wysokiej szklanicy, założył nogę na nogę i z nieukrywaną drwiną popatrzył na grubasa.

– Pamięci oraz czci! – Nawet pod grubą warstwą pudru było widać, że policzki oponenta przybrały barwę dorodnych pomidorów. Z wściekłości oczywiście. – Jak pan śmie, Cresidius, podważać ideę tego święta? Żądać jego anulowania?! Elfy były naszymi przyjaciółmi! Tak wiele im zawdzięczamy! Zaprzestać organizowania święta to jak zdradzać przyjaciela. Jak pluć mu w twarz! Jak panu nie wstyd?!

– Przekręca pan moje słowa, drogi profesorze. Nikt nie wątpi w zasługi naszych Wielkich Nieobecnych i nikt nie chce im ubliżyć. Chodzi jedynie o coraz większy rozmach, z jakim z roku na rok ta impreza jest organizowana. Zwykli obywatele, tacy jak ja, zadają proste pytanie: czy na pewno nas na to stać?

„Co racja, to racja, jednak...” – pomyślał oglądający relację ciemnowłosy mężczyzna.

Ten tłusciutki profesor, Favineaux, żarliwy wielbiciel wszystkiego, co wiązało się z władzą, notorycznie pchał się do tego typu programów. Niczym samozwańczy obrońca honoru palatyna, z uporem maniaka i ku ucieście widzów, bezkrytycznie tłumaczył go z wszelkich uczynków. Nie traktowano go poważnie. Miał raczej stanowić tło dla innych gości, których zadaniem było błyskotliwe wypunktowanie wszelkich ułomności ludzi palatyna.

Ciemnowłosy na moment podniósł oczy i zlustrował otoczenie. Potem dyskretnie poprawił w uchu niewidoczną słuchawkę i ponownie skupił się na transmisji.

„No, no, mają tupet! Ronenweth nie da sobie w kaszę dmuchać. Tym razem im nie daruje. Nie za taki program w czasie świąt...”

– Czy nas stać? Oczywiście, że tak! Szanowny kolega raczej żartować! W całej naszej historii nie przeżywaliśmy większej prosperity niż obecnie! – zagulgotał otyły profesor.

„Powiedz to poławiaczom pereł na Morzu Trytonów, Favineaux. Łowią dla was skarby, ryzykując spotkania z mieszkańcami syren, a jednocześnie przymierają głodem. O, albo kadetom w Strefie Okupacyjnej, którą tak romantycznie nazywacie Kryształowymi Wodospadami. W imię naszej obrony gnębią tubylców. I po co? Dla odrobiny minerałów z ich kopalni. A biedota z Dzielnicy Dębów w Metropolii? Po dębach już nawet wspomnienie nie zostało. Że żarli wszystko, do ostatniego żołędzia. Całe te święta, memorial, targi to jedynie imitacja dobrobytu, ochłapy, igrzyska dla mas”.

Ciemnowłosy z irytacją zacisnął usta.

– S z a n o w n y kolego – wycedził z drwiną Cresidius. Złożył dłonie jak do modlitwy i oparł na nich podbródek. Wodnistobłękitne oczy skupiły się na Favineaux. – Jest pan po praniu



mózgu, zażył blekot gwiaździsty czy naprawdę wierzy w te brednie przekazywane przez urzędników z ministerstwa? Tę całą bandę... – nonszalancko machnął dłonią w kierunku wymaginowanego tłumu – ...należałoby rozpędzić na cztery wiatry. Pewnego dnia, kto wie, może nawet przy najbliższych wyborach, prości ludzie stracą cierpliwość, zażądają zmian...

– Zdaje się, że musimy już kończyć! Za dosłownie parę minut rozpocznie się inauguracja tegorocznych świąt... – Prowadzący dyskusję postanowił przerwać nadciągającą awanturę.

„Chłopie! Tylko nie zafajdaj kanapy! – pomyślał ciemnowłosy, widząc popłoch na twarzy tamtego. – Pewnie już dostał czuły liścik od ludzi Ronenwetha. A za ten program będzie kilka następnych”.

– Ian? Ian! Tu jesteś!

Ciemnowłosy sam niemal podskoczył, gdy usłyszał czyjś zasapany głos. Błyskawicznie złożył broszurę z programem targów. Jak gdyby nigdy nic włożył ją do kieszeni na ramieniu odświętnego kombinezonu. Udając, że drapie się za uchem, wydobył słuchawkę, która chwilę później znalazła schronienie w innej kieszeni.

„Ryzykowne i bezczelne – pomyślał o ewentualnych konsekwencjach odkrycia zawiniętego w broszurę przekaźnika. – Ale podobno bez ryzyka nie ma dobrej zabawy...”.

Tymczasem pewien rosły mężczyzna o srebrzystej czuprynie sprawnie przedarł się przez tłum i trzymając się za bok, jakby złapała go kolka, szybko podszedł do ciemnowłosego.

– Wszystko gotowe? Klatki czyste? Zabezpieczone? Zwierzęta oporządzone? Na pewno? Oni zaraz tu będą! Palatyn zażyczył sobie obejrzeć wszystkie stanowiska przed oficjalnym otwarciem! Ian!...

Ten tylko się uśmiechnął.

– Zawsze jesteśmy gotowi. Treller, staruszk, z roku na rok ro-  
bisz się coraz bardziej nerwowi i śmiem twierdzić, coraz mocniej  
zależy ci, żeby dobrze wypaść – zakpił, po czym objął siwowło-  
sego i poprowadził ku zagrodom. – Czy w czasie ostatnich kilku  
świąt cokolwiek spartoliłem, t a t o? – zaakcentował ostatnie sło-  
wo, spoglądając znacząco na starszego pana.

– Tyle razy prosiłem!...

– Żebym w ten sposób do ciebie nie mówił, bo czujesz się staro.  
Tak, pamiętam. A ja tyle razy prosiłem o zaufanie. A ty co? W two-  
im wieku i przy twoim stanie zdrowia powinienś siedzieć na far-  
mie, doglądać przychówku, ale przede wszystkim wypoczywać.  
Zamiast tego uparłeś się przejechać taki kawał drogi. I po co? Żeby  
mnie nadzorować! Znowu. Zupełnie jakbym był jakimś durnym  
nastolatkiem na pierwszej wystawie. Już nie mam do ciebie sił...

Starszy pan zerknął na syna spod zmarszczonych brwi.

– Matka tu jest – powiedział cicho. – Nie darowałyby mi, gdy-  
bym cię puścił samego, przecież wiesz. Nie po tym wszystkim...

Ian głośno wciągnął powietrze.

– Treller! Czy ona wie, ile mam lat?! Może czas jej to w końcu  
uświadomić?! – warknął.

– A co ja mogę? Wiesz, jaka jest. Jak się na coś uprze...

„Matka i jej nadopiekuńczość! Parę drobnych wypadków,  
a ona od razu boi się, że zginę. Gdybym jej pozwolił, zamknęłaby  
mnie w złotej klatce. Zgoda, cały czas nie może zapomnieć o Unie  
i Russellu, ale na Onyksową Harfę...”

Wspomnienie rodzeństwa przerwał mu czyjś wysoki śmiech,  
który rozległ się właśnie za jego plecami.

– Ian! Kochanie! – usłyszał charakterystycznie brzmiący  
głos Martine. – Tak długo mnie nie odwiedzałeś, że zasłużyłeś  
na baty! Niech no się przyjrzę mojemu pięknemu synowi.

– Praca na farmie zajmuje mnóstwo czasu. Przecież wiesz o tym, m a m o. – Odwrócił się ku starszej, dystygowanej kobiecie cudownie pachnącej konwalią i natychmiast zapomniał o całej złości, do której doprowadzał go fakt, że ciągle traktowała go jak bezradne dziecko.

Jego jasne oczy uśmiechnęły się ciepło do kobiety i przyjrzały jej się uważnie. Nienaganna fryzura, delikatny, acz staranny makijaż, drogi kostium oraz szpilki i nawet tu, na wystawie hodowlanej, ekskluzywna, dyskretna biżuteria. I jeszcze ta czarna brosza w kształcie harfy wysadzana jakimiś kamieniami, z którą nigdy się nie rozstawała. Ian zupełnie nie znał się na gemmologii, ale nie miał wątpliwości, że jego matka nie założyłaby byle błyskotki. Martine zawsze i w każdej sytuacji musiała wyglądać, jakby właśnie wyszła z pokazu mody. Stąd jako dzieciak Ian zwykł wyobrażać sobie – ot, tak dla zabawy – jak matka przemierza w tych swoich drogich pantoflach zabłocone kojce młodych vivernów albo przedziera się wśród osmalonych konarów przez woliery miniaturowych feniksów. Wyobrażał sobie, w jaką histerię wpadałaby, gdyby pośliznęła się na łajnie ptakosmoka, i natychmiast zaczynał chichotać.

Nie żeby Ian nie kochał matki albo źle jej życzył. Wręcz przeciwnie. Jednak do szału doprowadzała go jej pedanteria, a zwłaszcza nadopiekuńczość granicząca ze śmiesznością.

To właśnie dlatego w wieku lat siedmiu wyblagał Trellera – to znaczy ojca – by ten pozwolił mu zamieszkać ze sobą na farmie. Tak, chociaż matka zaplanowała dla niego karierę wysoko postawionego urzędnika, on zdecydowanie wolał wędrówki wraz z ojcem po górach, spanie w domku bez wygod przy zagrodach zwierząt, noce spędzane na polowaniach i dnie na doglądaniu jeszcze ciekawszych istot. Oczywiście nie obyło się bez awantur, łez i ne-

gocjacji. W końcu Martine i Treller dogadali się. Stało na tym, że dzieciak pół roku będzie spędzał u matki, uczęszczając do ekskluzywnej szkoły dla, jak to nazywał, „magiczno-snobistycznych debili”, a drugie pół – z Trellerem i jego inwentarzem.

Przez wiele lat ten dziwny układ funkcjonował bez zarzutu, ale gdy chłopak dorósł, znudziło go udawanie, że zdobycze cywilizacji jakoś specjalnie go interesują. Stopniowo spędzał na farmie coraz więcej czasu. W końcu zaczął wracać do miasta tylko po to, by nie robić matce przykrości, ale przede wszystkim na targi, no i na Święto Srebrzystych Kaganków, ma się rozumieć. Teraz spoglądając na rodziców, zastanowił się jeszcze, jakim cudem dwoje tak różnych jak Treller i Martine istot mogło się pobrać, spłodzić trójkę dzieci, a później świadomie zdecydować, by być wciąż razem, ale żyć jednak osobno?

„Arystokratka i zwykły facet. Podobno miłość nie wybiera, no ale co ja mogę o tym wiedzieć? Powinienem częściej ją odwiedzać – pomyślał, patrząc, jak Martine zakłada kosmyk włosów za ucho i zerka na Trellera zalotnie niczym młoda zakochana dziewczyna, podczas gdy ten udawał, że niczego nie dostrzega. – To nie jej wina, że nie ciągnie mnie do tego całego luksusowego syfu. Jest świetną matką. Zapewniła mi wykształcenie, majątek, kontakty... Wszystko. Czepiam się jej. To nie w porządku”.

– Co u Uny? – wymknęło mu się, nim zdążył ugryźć się w język. Martine momentalnie zacisnęła usta. Podejrzanie zwilgotniały jej oczy. W myślach Ian nawrzucał sobie od nieczułych idiotów. – Wybacz...

– Chciałabym powiedzieć, że wszystko w porządku, ale nie, nie jest w porządku. Mógłbyś czasami ją odwiedzić...

Chłód, z jakim wypowiedziała te słowa, sprawił, że Ian poczuł się jeszcze gorzej. Znow emocje zagotowały się w nim, dopro-

wadzając niemal do furii. Miał ochotę wykrzyczeć pytanie, co dałyby te wizyty u nieprzytomnej siostry prowadzącej egzystencję rośliny w ogromnej kapsule zawieszanej gdzieś pod dachem olbrzymiej przestrzeni hospicjum. U siostry utrzymywanej przy życiu tylko dzięki mnogości maszyn i zasobności rodzinnego portfela. U siostry, której dziesięć lat temu, mimo całej swej wiedzy i umiejętności, nie zdołał ochronić przed atakiem ogromnego rozjuszonego viverna...

I był jeszcze Russell, a właściwie wspomnienie o nim. Młodszy brat, tak utalentowany, że skończył studia z wyróżnieniem dwa lata przed terminem, a potem błyskawicznie piął się po szczeblach urzędniczej kariery, zajmując coraz ważniejsze stanowiska w państwowej administracji. Był wiernym odbiciem wszelkich przymiotów Martine, niemal jej męską kopią. Ambitną, uwielbiającą luksus i władzę kopią. A jednak to ten słaby fizycznie geniusz nie zawahał się wtedy ruszyć Unie na pomoc. To jego fortel odciągnął uwagę zwierzęcia, co umożliwiło medykom podjęcie akcji ratunkowej. Do tej pory Iana dręczyły sny, w których widział przerażone spojrzenie brata w ostatnich sekundach życia.

Ech, gdyby tamtego dnia był bliżej... Ten vivern zdążył zabić i zeżreć jeszcze cztery inne osoby, w tym dwóch ochroniarzy ówczesnego palatyna, nim nadzorcom udało się go obezwładnić i skrócić o wszystkie trzy łby. Co z tego, że po tych tragicznych zajściach oficjalnie zakazano wystawiania osobników większych od cielaka? Życia Russowi ani pozostałym to nie wróciło.

„A to wszystko przez parę bezmózgich kretyków. Cydr i zabawa okazały się ważniejsze od nadzorowania zwierząt. Ech, gdybym ich wtedy dopadł...”.

Ian zawsze uważał, że wystawianie na targach tak groźnych odmian jak pluający na pięćdziesiąt metrów kulami ognia vivern

diabelski, kiedyś się zemści. Kochali z Trellerem te zwierzęta, ale sami, narażając się na drwiny innych hodowców, nigdy nie wystawiali egzemplarzy większych od świni i groźniejszych niż vivern czarnorogi, który mógł co najwyżej zadrapać pazurem. Mimo tak dramatycznej śmierci Russa ubolewali nad reakcją urzędów nadzorujących takie imprezy. Nagonka na viverny i ogólnarodowa histeria osiągnęły takie rozmiary, że omal nie zabroniono wystaw w ogóle. Represje dosięgły nie tylko nadzorców tamtego nieszczęsnego zwierzaka, ale rozciągnęły się na wszystkie hodowle vivernów i innych stworzeń towarzyszących uważanych do tej pory za sympatyczny relikwini minionych czasów.

Urzędowo zakazano wystawiania osobników większych od cielaka. Wprowadzono szereg dodatkowych przepisów ograniczających ich hodowlę oraz udział w pokazach. Wszystkie osobniki zbyt agresywne, niepoddające się tresurze i większe od krowy, oficjalnie wyeliminowano z hodowli. Tylko nieliczne przetrwały, służąc w wojsku czy ochronie palatyna. Do przydomowej hodowli czy sprzedaży przeznaczono jedynie rasy miniaturowe, a i to ze spiłowanymi zębiskami oraz wyciętymi gruczołami pozwalającymi na płucie ogniem. Osobniki odmiany pierzastej, nieprzekraczające wielkości kota, zrobiły co prawda furorę wśród dzieciaków, lecz Ian nie miał wątpliwości, że największe pieniądze zarabiało się na współpracy z wojskiem i handlu jajami najgroźniejszych odmian na czarnym rynku.

Teraz Ian zerknął na Trellera i na matkę. Wspomnienia tamtych zajęć znów wypełzły niczym natrętne robactwo. Histeria Martine i szok, jakiego doznała na wieść o śmierci najmłodszego syna oraz śpiączce ukochanej córki. Treller, który zniknął w górach i wrócił po kilku miesiącach jako wrak człowieka. On sam, Ian, doglądający matki, podczas gdy farma podupadała. Te ob-

razy bolały niczym żywcem przypiekana rana. Upływający czas nie uleczył rozpaczy Iana. Westchnął z rezygnacją i darował sobie wszelkie sprzeczki. Przerabiali to już tyle razy, oskarżając się wzajemnie i wybacząc zaraz potem...

Nie zdążył matce nic odpowiedzieć. Ponure rozważania przerwała wrzawa, która wybuchła kilka stanowisk dalej. Zerknął w tamtym kierunku. Zmarszczył brwi. Szybko odgonił bolesne wspomnienia. Najpierw zobaczył Bena Stoykova gawędzącego na uboczu z jakimś oficjelem, a tuż koło nich mężczyzn w szarych uniformach, furażerkach ze srebrnym otokiem i kiścią piórek spiętych srebrną broszą, bez pardonowo rozpychających się w tłumie.

„Ochroniarze Ronenwetha” – pomyślał.

– Treller! – rzucił głośniejsze, niż zamierzał.

Ruchem głowy wskazał ojcu nadciągającą świętą palatyną. Wykonał uspokajający gest i ulotnił się w kierunku swoich boksów. Zanim palatyn zdążył dotrzeć do ich stanowiska, Ian upewnił się, że wszystkie klatki są czyściutkie, zwierzęta oporządzone i odpowiednio wyeksponowane. Wiedział, że Ronenweth ma głęboko gdzieś zarówno targi, jak i wystawców, bo rzecz jasna nie o targi mu chodziło, ale o rozrywkę dla gawiedzi, a przede wszystkim kontakty biznesowo-towarzyskie i utrzymanie mitu, że palatyn dba o wyborców. Cóż, ostatecznie do wyborów zostało mało czasu, więc Ronenweth musiał się choć trochę postarać, jeśli chciał zachować urząd. Ale oto pojawił się i on sam.

– Martine McLaurie! Cóż za przyjemność móc znowu panią widzieć. Dodaje pani splendoru każdej imprezie.

Szczupły mężczyzna z szarymi długimi włosami założonymi za uszy, odziany w świetnie skrojony trencz, ujął dłoń jego matki i ucałował z kurtuazją.

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@nk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@nk.com.pl)  
**[www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)**

---

Książkę wydrukowano na papierze  
Creamy 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2.0.

Redaktor prowadzący Katarzyna Piętka  
Redakcja Magdalena Adamska  
Korekta Ewa Mościcka, Magdalena Szroeder  
Redakcja techniczna, opracowanie DTP Paweł Nowicki

ISBN 978-83-10-13087-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Drukarnia POZKAL, Inowrocław